

## Zasadzka

Przed zachodem słońca otrzymałem rozkaz od dowodzącego pułkiem majora Kazimierza Chłapowskiego. Brzmiał on krótko i jednoznacznie: „Odszukać 7 p.s.k., z którym przejściowo utraciliśmy łączność. Przywieźć od dowódcy 7 p.s.k. jego przewidywaną oś marszu na dzień następny. Zachować ostrożność z uwagi, że teren jest nierozpoznany i może być zajęty przez nieprzyjaciela”.

Wyruszyłem niezwłocznie w kierunku północno-wschodnim na Sochaczew, zabierając pchr. J. Powidzkiego z 7 p.s.k. i 6 ułanów mego plutonu. Po prawej stronie drogi rozległe łąki, na dalekim horyzoncie ściana lasu, dokąd zamierzałem dotrzeć w nadziei natrafienia na jakieś ślady konnych strzelców. Po ujechaniu 10 km zatrzymałem się przy remizie strażackiej, by z jej dachu spenetrować teren przez lornetkę.

Dobrze się stało, bo oto jak na dłoni dojrzelismy nieoczekiwanie posuwający się w naszą stronę marszem ubezpieczonym jakiś oddział konny. Ciężkie konie i kształty hełmów wskazywały wyraźnie, że to Niemcy. Było ich kilkudziesięciu. Miejsce na zasadzkę było jednak wymarzone. Remiza strażacka doskonale ukrywała nasze konie. Przed remizą, poprzecznie do osi drogi, przebiegało wąskie, wyschnięte koryto jakiejś rzeczki o stromej krawędzi brzegu, wyplecionego faszyną. Rozlokowaliśmy się w niej po obu stronach drogi, niczym w najlepszym okopie. Przy rkm st. ułan Rybak, który nie tylko był doskonałym, dzielnym żołnierzem, ale znał się również dobrze na pszczelarstwie. Toteż jego puszka od gazowej maski była przy każdej mijanej pasiece napełniana plastrami miodu, którymi wszyscy nasycaliśmy głód.

Gdy dwaj szperacze niemieccy przejeżdżali przez mostek, znieruchomieliśmy, przylegając do zielonej faszyny i modląc się, by nas nie dostrzegli i tym samym nie spłoszyli nadciągającego oddziału.

Nieuniknione było jednak rychłe spotkanie niemieckich szperaczy z naszymi końmi za strażacką remizą. Jeszcze dwie, trzy minuty, byle ich główny oddział bliżej podciągnął. Ale nagła wolta i ich głośny okrzyk zadecydowały. Dwa celne strzały i obaj szperacze zakończyli swój udział w tej wojnie. Potem krótkie serie rkm st. uł. Rybaka, trochę bezładnej obustronnej strzelaniny i Niemcy rozproszeni po łące, umykają w popłochu w powrotnym kierunku, który był i naszym kierunkiem zamierzonym.

Zastanawiałem się chwilę nad sposobem wykonania otrzymanego zadania, gdy w blasku zachodzącego słońca nad naszą docelową ścianą lasu ukazały się długie kolumny samochodów niemieckich, krzyżujące nam drogę. Sześć książeczek wojskowych, pozabieranych poległym Niemcom nie łagodziło troski i wątpliwości, z jaką zawracaliśmy. Czy zastaniemy pułk na miejscu, gdzie stał przed paroma godzinami? Co dzień jutrzejszy przyniesie? Ale, przede wszystkim co powie major na niewykonanie rozkazu?

Zrobiło się już zupełnie ciemno, gdy wjeżdżaliśmy do wsi. Gromkie: „Stój, kto idzie?” naszej placówki odczuliśmy jak głos bliskiego przyjaciela. Byliśmy znów z pułkiem. Jak te wojenne dni silnie zespalały ludzi.

Majora K. Chłapowskiego zastałem w jego kwaterze przy naftowej lampie, pochylonego nad mapą w towarzystwie rtm. Adama Sicińskiego i jeszcze paru oficerów. W jego przystojnych rysach twarzy odbijało się wielkie zmęczenie, ale jak zawsze był opanowany, skupiony i łagodny. Po wysłuchaniu mego raportu i odebraniu niemieckich książeczek, położył mi rękę na ramieniu i powiedział ciepłym głosem: „Wiem już z innych meldunków, że tam jest nieprzyjaciel. Niech Pan prześpi się trochę, bo o świcie ruszamy. I niech Pan zajrzy do kuchni, bo dziś wreszcie udało nam się ten gulasz dogotować”.

*Poznań, 1988 r.*